Świat Młodych
GAZETA HARCERSKA

Nr 94 (1668) Warszawa, piątek, 24 listopada, 1967 r. Cena 50 gr

OD DZIŚ TRWA

W wyniku akcji „MOJE MUZEUM" otrzymaliśmy od naszych czytelników i drużyn harcerskich wiele ciekawych informacji o skarbach, które dotychczas poniewierały się na strychach, w piwnicach, w różnych zakamarkach. Niektórzy z was założyli już małe „muzea domowych skarbów", inni nazwali je „kącikami pamiątek", gdzie znalazły poczesne miejsce różne stare dokumenty, księgi, przedmioty, które czas wycofał już z użycia.

WIELKA OPERACJA

Z listów waszych dowiedzieliśmy się o faktach znajdywania w składnicach makulatury bardzo cennych starodruków, ksiąg i rękopisów przedstawiających wielką wartość historyczną. Dziś w związku z tym ogłaszamy OPERACJĘ pod hasłem:

„BIAŁY KRUK"

Biały kruk, to synonim czegoś, co jest niezwykłą rzadkością. Tym więc mianem nazywa się **stare księgi i unikalne czasopisma**, których istniejące egzemplarze można policzyć nieomal na palcach jednej ręki. Do białych kruków tym bardziej zaliczyć należy rękopisy dzieł literackich pisarzy i poetów, które znajduje się po dziś dzień w najprzeróżniejszych miejscach i okolicznościach. A między innymi, niestety, i w składnicach makulatury.

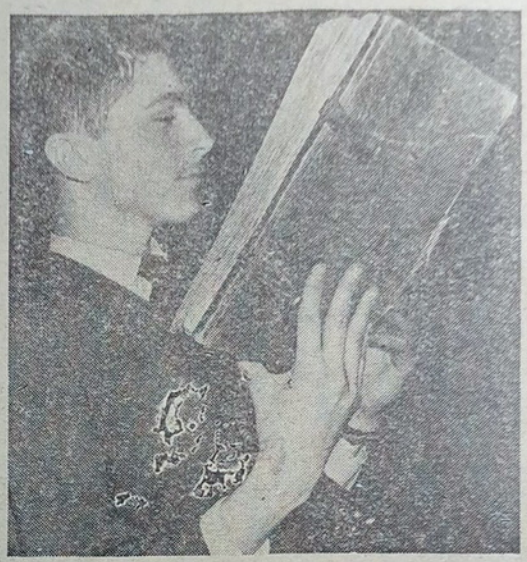

Foto J. Dąbrowski

HISTORIA TAMTYCH DNI

BIAŁE KRUKI to nie tylko stare księgi i czasopisma sprzed kilkuset, czy kilkudziesięciu lat. To także dokumenty, legitymacje, kroniki, listy, pamiętniki itp. dotyczące ostatniej wojny. To już też historia. Wiedzą o tym choćby drużyny harcerskie, które szczycą się odnajdywanymi do dziś kronikami, zapiskami, pamiątkami po działalności harcerzy w latach okupacji.

Ostatnio w Warszawie znaleziono kilkadziesiąt listów ze stemplami Harcerskiej Poczty Polowej, z dni Powstania Warszawskiego. Tragiczną musiała być historia harcerskiego łącznika - listonosza, który padł na służbie, niosąc torbę pełną listów do poległych w tragicznej zawierusze wojennej warszawskich rodzin. Dziś warszawscy harcerze odszukują ludzi według wypłowiałych adresów, ledwie już widocznych na tych listach, by wykonać zadanie podjęte przez ich rówieśnika sprzed 23 lat. Listy te są dziś prawdziwą historią tamtych dni. Na szczęście nie trafiły do składnicy makulatury.

Zadanie 1

Rozejrzyj się w swoim domu. Sprawdź, czy wśród makulatury, którą co jakiś czas odnosisz do punktu skupu lub do szkoły, nie ma rzeczy „trącących myszką", a przedstawiających wartość muzealną, bibliofilską, historyczną. Mogą być one pisane po polsku jak również i w innych językach. Jeśli natrafisz na białe kruki, zwróć się do najbliższej biblioteki lub do pana kierownika szkoły z pytaniem — co z tym zrobić, komu przekazać, względnie, jak zabezpieczyć przed zniszczeniem.

Zadanie 2

Uwaga — zastępy! Uwaga — drużyny harcerskie! Zorganizujcie specjalne patrole, które za pozwoleniem pana kierownika szkoły spenetrują szkolne składnice makulatury w poszukiwaniu białych kruków. Patrole zwracają uwagę na to, co wśród makulatury przynosi się do szkoły. Czuwają nad tym, co odstawia się do punktów skupu. W toku akcji zarobkowej prowadzonej przez drużyny harcerskie i szkoły nie mogą zdarzyć się wypadki odstawiania (zapewne nieświadomie) białych kruków na przemiał.

Zadanie 3

Każdy zastęp, drużyna i każdy indywidualny uczestnik Operacji „Biały Kruk" nadsyła meldunki o swych odkryciach i przeprowadzonych akcjach. Na kopertach obok adresu redakcji piszcie: OPERACJA „BIAŁY KRUK". Najciekawsze meldunki będziemy zamieszczać w „Świecie Młodych".

„Meduza I" w trakcie przygotowań do zanurzenia. Na dachu batyskafu konstruktor i akwanauta — Antoni Dębski. Obok w wodzie Władysław Szczepkowski.

Foto A. Kowalski

Eksperyment „MEDUZA I"

...W dniu 14 lipca 1967 roku o godzinie 14,25 w głębinę wodną jeziora Kłodno powoli opuszczał się pierwszy polski batyskaf. W ciasnej kabinie, której wysokość wynosiła 1,05 metra, długość 2,20 m, szerokość 1,80 m — siedzieli dwaj płetwonurkowie z gdańskiego Klubu „Posejdon": Antoni Dębski — konstruktor „Meduzy I" i Aleksander Lassaud — współbudowniczy.

C. D. na str. 4 — 5

DWIEŚCIE TYSIĘCY

DOKOŃCZENIE

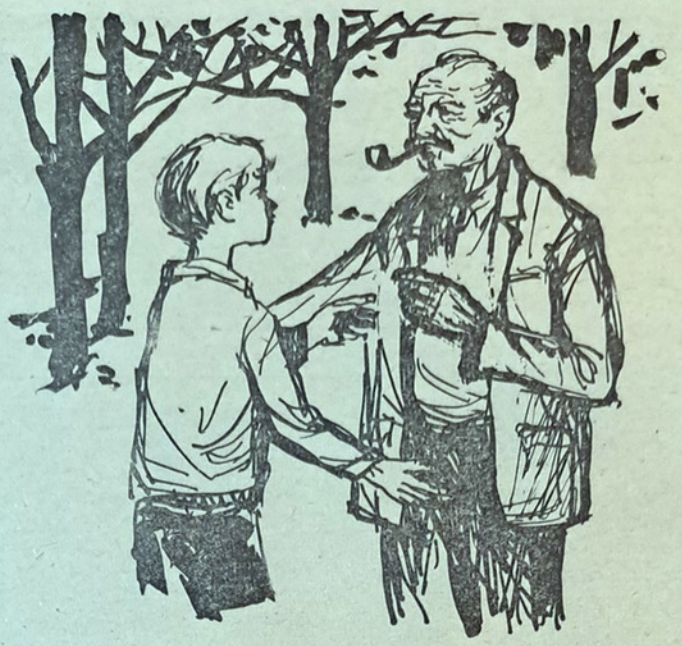

ZBYSZEK O NICZYM NIE WIE. Jeszcze nie czuje, jak dokoła niego wytwarza się nagle pustka i jakby oczekiwanie. Niektóre dziewczyny uśmiechają się do niego. Niektórzy chłopcy, wyraźnie to widać, chcieliby zostać nagle serdecznymi przyjaciółmi Zbyszka. W tym sęk, że nie wiedzą, jak się do tego zabrać.

Wracam do domu przez park. Zatrzymuję się przy każdym ciekawszym drzewie. Kasztanów ani na lekarstwo. Zbieram więc kamyki i celuję nimi do samotnych pni.

W domu już wiedzą, że rodzice Zbyszka wygrali dwieście tysięcy. Przy obiedzie o niczym innym się nie mówi.

— To plotka — staram się ich przekonać.

— Plotka, plotka. Gdyby była plotka, to wszyscy by nie mówili. Już jak ludzie coś mówią, znaczy, że coś w tym jest.

Śmiać mi się chce i płakać. Początkowo zdawało mi się, że rzucam mały, zupełnie niewinny kamyczek. Teraz widzę, że sypie się lawina tysiąca olbrzymich kamieni, które mogą zupełnie zgnieść Zbyszka. Ale chyba nie tylko Zbyszka.

Ma dnie wszystkiego stoję ja. W końcu może się wydać, kto naprawdę wygrał dwieście tysięcy w totolotka... I jeżeli ktoś bardzo zechce — z pewnością po nitce do kłębka dojdzie do tego, że to ja powiedziałem Felkowi w największej tajemnicy głupią bzdurę, że to ja puściłem plotkę...

Wieczorem już wszyscy w miasteczku wiedzą, że matka Zbyszka płakała w mleczarni, kiedy sąsiadki żartowały z niej, że pieszo chodzi do sklepu.

— Dlaczego nie kupicie samochodu? — żartowali ludzie; jedni przyjaźnie, inni zjadliwie.

Podobno ojciec Zbyszka wyprosił z domu swoich współpracowników, którzy przyszli wyciągnąć go na „małe przyjęcie" z okazji wielkiej wygranej.

Zbyszek pobił się z kolegami na podwórku. Wmawiali mu, że jest obrzydliwym sknerą, bo nie chce się dołożyć na składkę do cyrku, który wczoraj przyjechał do naszego miasteczka.

Głowa mi pęka z bólu. Siostra pyta nawet, czy nie sprowadzić lekarza. Co tu pomoże lekarz? Czy tu w ogóle może ktokolwiek pomóc?

Szkoda, że teraz nie można już iść, jak w dawnych czasach, w dalekie kraje i zacząć życie od nowa. Zaraz złapią, nazwą uciekinierem i skończy się na jeszcze większym wstydzie. Obniżą jeszcze na pewno stopień ze sprawowania.

Nowy dzień. W nocy nie spałem. Leżąc w ciemnym pokoju szukałem wyjścia z sytuacji. Nie znalazłem. Gorzej. Doszedłem nawet do wniosku, że czyn mój będzie rozpatrywany przez sąd i że otrzymam prawdopodobnie najwyższy wymiar kary. Plama na życiorysie, plama nie do wymazania!

Powinienem iść do szkoły. Wychodzę z domu. Na ulicy widzę dziadka, który zajmuję się ogrodnictwem i całe wieczory spędza z fajką w zębach. Siedzi godzinami w altance obrośniętej krzewami bzu. Opowiadają o nim, że był kiedyś, przed wielu laty — w Argentynie. Podobno otarł się o Australię i Indie, podróżował. Aż trudno w to wszystko uwierzyć, kiedy się na niego patrzy.

— Chłopcze! — woła mnie. — Idziesz do szkoły?

— Tak. O co chodzi — odpowiadam, mimo że nie mam najmniejszej ochoty odwiedzać przybytku wiedzy.

— Pójdę z tobą. Chciałbym pomówić z waszym profesorem.

U nas nie ma profesorów. Są tylko nauczyciele i kierownik. Jest także woźny i sekretarka...

Idziemy wolno. Chce mi się skoczyć w bok do parku i rozpocząć wagary, wagary już do końca życia. Dziadkowi to dobrze. Mógł sobie pojeździć po świecie i teraz może godzinami wspominać. Ale po chwili zjawiają się pierwsze cienie podróży dziadka-ogrodnika: pojechał za chlebem. Racja. Często głodował. Też racja. Tak, to zmienia postać rzeczy. Ale co mnie w końcu obchodzi dziadek. Idę obok niego i myślę o swoim położeniu.

— Zawsze chciałem chodzić do szkoły... — zaczyna rozmowę dziadek. — Gdybym umiał cokolwiek, o wiele lepiej przeżyłbym życie.

— Przecież przejechał pan świat dokoła!

— Nie przeczę. Przejechałem, ale widziałem tylko własną biedę. Nic więcej.

— Nie rozumiem.

— Otóż to. Kiedy człowiek nic nie umie, niczego nie zobaczy. Chociażby gapił się całe życie. Choćby był nawet w Indiach. Nie umiałem pisać, byłem bez zawodu, ledwo znałem język ojczysty. O językach obcych nie było mowy.

Milczenie. Dziadek ma pewnie rację. Przeżył to, o czym opowiada. Ale, prawdę mówiąc, nie mogę się skupić na jego ciekawej historii. Boję się szkoły. Boję się zdziwionej i przestraszonej twarzy Zbyszka. Przecież on się dowie kiedyś, że to ja...

— Pierwszy raz w życiu idę do szkoły — mruczy cicho staruszek. Potem dodaje głośniej: — A wiesz ty po co ja do waszego kierownika?

Po co on tyle mówi? Czy on naprawdę nie ma nic lepszego do roboty, tylko iść w taki dzień do szkoły?

— Nie wiesz! — nie zraża się moim milczeniem. — Nikt tego nie wie! Ja chcę zapytać waszego kierownika, czy nie zechciałby przyjąć dla waszej szkoły dwieście tysięcy...

To straszne. To okropne. Wykrzykuję:

— Dwieście tysięcy!? Dlaczego pan mi to mówi?

— Wygrałem w niedzielę. Po co mi pieniądze...

Zostawiam dziadka na środku ulicy i biegnę do szkoły. Widzę Felka, czerwienię się, ale to nic. Już wiem, jak się zachować. Znalazłem słowa, żeby siebie usprawiedliwić:

— Wiecie, kto wygrał dwieście tysięcy?! — drę się na cały korytarz.

— Wiadomo. Też nowina. Rodzice Zbyszka.

— Bzdura. Ktoś wam nagadał bredni. Wygrał stary ogrodnik z naszej ulicy. I chce, chce... dać wszystko naszej szkole!

To jest naprawdę najpiękniejsza nowina, jaką kiedykolwiek powiedziałem w życiu. Felek ciągnie mnie do okna.

— Ty, Janek. A coś ty mi wczoraj nagadał?

— Wszystko się wyjaśniło — unikam wzroku kolegi: — No, wiesz, jakoś tak chlapnąłem językiem...

Felek patrzy na mnie, patrzy. Potem robi gwałtowny zamach prawą ręką i uderza mnie pięścią w plecy. Nie za lekko. Ale to dobrze, że zabolało.

WITOLD KAISER

Rys. M. TEODORCZYK

„DOMY CZYNSZOWE" DZIĘCIOŁÓW

Wśród ptasich architektów znajdują się żyjące na Haiti dzięcioły, które wykuwają w twardych pniach drzew swoje gniazda. Często w jednym pniu mieści się kilka „lokali", w których jak w „domach czynszowych" żyje kilka rodzin tych ptaków.

PRZYGODA DELFINA

Na Morzu Czarnym grupa delfinów otoczyła w pobliżu wybrzeża Krymu kuter rybacki. Zwierzętom najwyraźniej chodziło o zwrócenie na siebie uwagi. Udało im się to i doprowadziły kuter do małego delfinka zaplątanego w łańcuch pływającej boi. Rybacy wybawili malca z opresji, a stwierdziwszy, że jest zdrów, wypuścili do morza. Delfiny na wszelkie sposoby okazywały swoją wdzięczność i doprowadziły kuter aż do portu.

W RYBIM ŚWIECIE

Na świecie jest ponad 40 tys. gatunków ryb. Najmniejszą z ryb jest t.zw. babka filipińska — niespełna centymetrowej długości. największą — rekin osiągający niekiedy wagę 15 ton. Jedne ryby żyją w mule, inne pływają, jeszcze inne chodzą lub latają. Są też i takie, które oddychają powietrzem atmosferycznym.

ODTWARZA SWOJE CIAŁO

Gąbka jest najprostszym, najprymitywniejszym tkankowcem, czyli zwierzęciem wielokomórkowym. Obdarzona jest ona zadziwiającą zdolnością regeneracji utraconych części. Pocięta na drobniutkie fragmenty i przylepiona do skały, wyrośnie i odtworzy całe ciało.

OSTRY DYŻUR „ŚWIATA MŁODYCH"

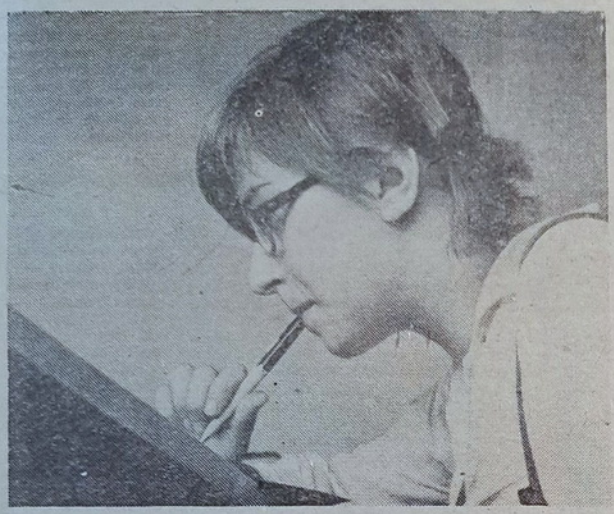

NA WSZYSTKO JEST SPOSÓB

DLA MŁODEGO CZŁOWIEKA największym źródłem niepokoju jest on sam: jego wygląd zewnętrzny, stosunek koleżanek i kolegów do niego, jego sposób bycia, to znaczy, że nie zawsze umie tak się znaleźć albo zachować, jakby tego wymagała sytuacja, w której się znalazł, jego rzeczywiste, albo rzekome wady.

Nic w tym dziwnego. Umysł młodego, rozwijającego się człowieka można by porównać do niezapisanej, albo do zapisanej fragmentarycznie taśmy magnetofonowej. Brak tam „zapisanego" doświadczenia, które ułatwiłoby Wam ustosunkowanie się do otaczającej rzeczywistości i — co najważniejsze — do samego siebie.

Listy od dziewcząt i chłopców — a otrzymujemy ich wiele — świadczą o tym, ile to zmartwień przysparza niektórym np. otyłość, zła sylwetka, nieudolność sportowa, wielka wrażliwość na kpiny i żarty koleżanek i kolegów, ubolewanie z powodu wad postawy fizycznej, brak celu w życiu, niezdecydowanie, nadmierna ambicja, albo nieśmiałość, albo „zawód miłosny", albo nadmierna wrażliwość na choroby itp.

Stąd m. in. rodzi się potrzeba szukania rady u ludzi doświadczonych i chęć poszukiwania „modelów", na których można by się wzorować, choćby tymi modelami byli tylko rówieśnicy.

Nie zawsze się to udaje i nie zawsze wybór jest trafny. Bywa, że przynosi więcej szkody niż pożytku.

Pragniemy Wam, drodzy przyjaciele, w tym trochę pomóc. Dlatego też od dzisiejszego dnia dwa razy w miesiącu będziemy zamieszczali materiały, które będą odpowiedzią na Wasze najważniejsze i najbardziej niepokojące listy. Ponieważ będą z nami w tej sprawie współpracowali specjaliści z dziedziny medycyny i sportu, psychologowie, pedagodzy, a nawet psychiatrzy, umówmy się, że rubryka ta będzie się nazywała **„Ostry dyżur «Świata Młodych»"**.

◆ Najgorszą rzeczą dla właściwego układania sobie życia i kierowania nim jest tak zwane „popadanie w chandrę", czyli samotne przeżywanie własnych smutków i niepokojów, łatwo bowiem wtedy o przesadę i wyolbrzymianie rzeczywistych, albo urojonych braków.

◆ Jednym z wypróbowanych i nie najgorszych na to sposobów jest pisanie pamiętnika albo po prostu listu do kogoś zaprzyjaźnionego, do kogo mamy zaufanie. Wtedy bowiem porządkują się myśli i łatwiej zastanowić się nad sobą. Dziś dajemy Wam tę szansę. Jeżeli chcecie, to ją wykorzystajcie. Przekonacie się, że macie w życiu wiele szans, które można i trzeba wykorzystać, choć będzie to wymagało pracy. Postaramy się dążyć wspólnie do tego, żeby praca ta była możliwie najłatwiejsza i żeby możliwie jak najszybciej przyniosła pożądane rezultaty.

Każdy z Was chce być zdrowy, sprawny, niegłupi i kulturalny, czego z całego serca życzy Wam czekający na listy

REDAKTOR DYŻURNY

P. S. Nie zapomnijcie pod adresem redakcji dopisać „Ostry dyżur".

NA TROPACH PRZESZŁOŚCI

W RAMACH KONKURSU „Najpiękniejsze Dni Naszej Miejscowości" wykonaliśmy wiele różnych zadań. Między innymi zbieraliśmy narzędzia pracy, którymi posługiwali się nasi przodkowie. Dlatego właśnie postanowiliśmy urządzić Izbę Pamiątek.

Naszymi eksponatami zainteresował się pracownik Muzeum z Chełma, Stanisław Skibiński. Bywał u nas, omawiał znaczenie zbierania eksponatów.

Nie było dziecka w szkole, które by nie przyniosło jakiegoś eksponatu do naszego muzeum. Rodzice też byli przejęci naszą akcją, wynajdywali stare narzędzia i dawali je dzieciom mówiąc: „Zanieś to pani, bo się zniszczy, a wasza pani zbiera te stare rzeczy".

Zdarzało się i tak, że trudno było wyprosić w gospodarstwie jakieś narzędzie. Wtedy szła nasza pani i przekonywała. Harcerze z drużynową druhną Patajewicz urządzali wyprawy do starych, rozwalonych domów (bo nasza wieś przebudowuje się) i tam zbierali pozostawione stare narzędzia. W naszej wsi jest dom mieszkalny (mamy zdjęcie w kronice), który pamięta czasy pańszczyzny. Znaleźliśmy tam żarna dłubane, zrobione z jednego kloca, beczkę dłubaną, radło drewniane, kowadło, kołowrotek i wiele, wiele innych ciekawych narzędzi pracy.

Naszymi zbiorami zachwycił się kierownik Muzeum Chełmskiego i mówił, że chętnie by je wziął do siebie.

Ale nie o to chodzi. To my chcieliśmy mieć swoje wiejskie muzeum. Kiedy później ludzie zobaczyli, że coś się dzieje, nabrali zaufania, oddawali swoje najlepsze pamiątki, np. zdjęcia z okresu wojny, listy, odznaczenia, dyplomy, krzyże itp.

I tak, wspólnym wysiłkiem z Domem Kultury i Muzeum Chełmskim, zrobiliśmy wielką pracę dla naszej wsi. Dziękuję wszystkim tym, którzy wzięli udział w zdobywaniu różnych skarbów świadczących o kulturze ludowej naszego regionu i tworzeniu muzeum wiejskiego.

HENRYKA KLOC
przyboczna Drużyny Harcerskiej przy Szkole Podstawowej w Kopinie

MOJE MUZEUM

JESTEM stałym czytelnikiem „Świata Młodych". Na rzucone przez was hasło „Moje Muzeum" postanowiłem przeszukać wszystkie zakamarki w domu i na strychu i znalazłem wiele cennych, jak mi się wydaje, przedmiotów. Do najcenniejszych zaliczam: łyżeczkę pochodzącą z kompletu Wilsona z jego wizerunkiem (srebrna), książkę zawierającą pamiętniki i rękopisy marszałka Ferdynanda Focha, żelazko na tzw. „duszę", kilka starych lamp naftowych (zepsutych) ze szklaną kulą. Poza tym zdobyłem kilka starych książek, tabakierę i starą zapalniczkę. Zdobyłem także obraz (oryginał) nie znanego mi dotychczas malarza. Ponieważ jeszcze nie mam własnego kąta tak jak moi koledzy „zbieracze" z Kol-

buszowej, przedmioty te przechowuję w dużym kartonie.

JACEK WAŁOCH
Inowrocław
ul. Dzierżyńskiego 12/1

„Tchnienie" — jedna z najlepszych rzeźb X. Dunikowskiego wykonana w pierwszych latach naszego wieku. Polski rzeźbiarz przecierał wówczas nie odkryte jeszcze w rzeźbie szlaki. W ten sposób powstała rzeźba „Tchnienie" — symbol dziecka — nowego życia, które dała mu matka, symbol troski matki o swoje dziecko.

W pracowni rzeźbiarza

DO PRACOWNI pana Sieckluckiego wchodzi się nieomal wprost z Marszałkowskiej — najruchliwszej ulicy w Warszawie. Pracownia jest wielka. Pod jedną ze ścian stoją rzeźby. W kącie leżą zwoje grubego drutu, metalowe pręty, trochę gwoździ. W jednym z rogów nie ukończona rzeźba w cemencie. Na górę prowadzą schody — do mieszkania. Przy jednej ze ścian wielka drewniana tablica. Przyczepiony jest do niej rysunek przedstawiający jakąś rzeźbę, która istnieje na razie jedynie w wyobraźni rzeźbiarza.

— Kiedy nie mam czasu na wykonanie rzeźby w jakimś trwałym materiale — w żelazie, cemencie, wówczas posługuję się rysunkiem. Rysuję rzeźbę tak jak wyglądałaby, gdybym ją ukończył.

Pytam rzeźbiarza o studia na Akademii. O profesora Dunikowskiego.

Akademia, spotkanie z profesorem

RZEŹBIĆ ZACZĄŁEM wcześnie. Już w czasie okupacji dłubałem w drewnie. Moje prace oglądał wtedy znajomy architekt. On właśnie poradził mi, żebym jechał do Krakowa. Skończyła się wojna, wsiadłem w pociąg, pojechałem. W akademii były wówczas dwie pracownie. Jedną prowadził Popławski, a drugą Dunikowski. Poszedłem „na wyczucie" do Dunikowskiego nie zdając sobie nawet sprawy jak dobrego dokonałem wyboru.

...Profesor uczył w sposób nietypowy. Zwykle zajęcia w Akademii odbywają się w ten sposób, że po okresie samodzielnej pracy studentów profesor ogląda wyniki tej pracy i robi tak zwane „korekty", czyli poprawki. Nasz profesor prawie żadnych korekt nie robił. Zjawiał się w pracowni, chodził, oglądał. Nic więcej. Byliśmy wówczas zdziwieni. Dziś wiem, że ten właśnie sposób był najlepszy, jaki sobie można wyobrazić. Musieliśmy liczyć wyłącznie na siebie, na własne siły. Ci, którzy nie pracowali, albo ci — nie przyzwyczajeni do chodzenia własnymi ścieżkami, rezygnowali ze studiów.

Bywało, że profesor przychodził i widząc, że któryś z jego studentów nie pracuje samodzielnie, pieklił się, denerwował. Potem wychodził, nie powiedziawszy słowa.

*

Sztuka to szczególny zawód — myślę chodząc po pracowni. — Można wyuczyć się znakomicie krawiectwa, można być doskonałym stolarzem, piekarzem, ale jak stać się sławnym artystą? Można na-

XA
z n
rzy
stw
w
Aka
kow
W
cia
szy
nu
Pol
ra
wię
pra
poc
Wa

EKSPERYMENT Meduza-I

ROZDZIAŁ I

Człowiek z pasją

O KONSTRUKTORZE batyskafu rozmawiam z prezesem Klubu „Posejdon" inżynierem Jerzym Kulińskim.

— Przed pięciu laty przyszedł do naszego klubu Antek, absolwent Wydziału Mechanicznego Szkoły Rybołówstwa Morskiego w Gdyni. Swego czasu pływał on w naszej flocie jako najmłodszy oficer-mechanik. Potem zmienił pracę. Został stoczniowcem. Po kilku tygodniach Antek przyniósł na trening własnoręcznie skonstruowany aparat do swobodnego nurkowania. Widząc to „coś" nie posiadaliśmy się z uciechy. Aparat był bardzo prymitywny. Bardziej dla żartu niż na serio zanurzaliśmy się w nim kolejno do wody. I przestaliśmy się śmiać! Aparat działał i to dobrze! Ba, służy nam w klubie do dziś. Nazwaliśmy go „typu Dębski"...

Pragnienie skonstruowania batyskafu kiełkowało w umyśle pana Dębskiego od dosyć dawna.

— Zbudować batyskaf — bazę dla nurków! Taki, żeby można tam było wejść, posilić się, wypocząć, a potem wrócić do pracy... Żeby nurkowie mogli zamieszkać przez dłuższy czas na dużej głębokości! Projekt domku-bazy spędzał sen z powiek. Nie dawał spokoju.

Pierwszym wtajemniczonym w plany niezwykłej budowy został mgr inż. Aleksander Lassaad, kolega ze stoczni i płetwonurek z „Posejdona". Obaj zapaleńcy doszli jednak do wniosku, że sami nie dadzą rady.

W Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, w której obaj pracowali, istnieje drużyna płetwonurków. Kierownictwo Stoczni nieraz w trudnych sytuacjach, w wypadkach awarii korzystało z jej pomocy.

Opiekunem tej drużyny jest pan Jerzy Świerżbinowicz. Poparł on plany przyszłych akwanautów. Postarał się o przydział blachy, pomógł uzyskać zezwolenie na budowę batyskafu na terenie stoczni, oczywiście po godzinach pracy.

ROZDZIAŁ II

Rozpoczyna się zanurzenie

WIOSNĄ przystąpiono do pracy. W pierwszych dniach lipca budowę ukończono. Wybrano miejsce na eksperyment. Jezioro Kłodno w powiecie Kartuzy nadawało się do tego celu znakomicie.

Spośród stoczniowej drużyny płetwonurków skompletowano ośmioosobową grupę, która asekurowała wyprawę z brzegu. Jej kierownikiem został pan Ryszard Lewandowski.

Dziewiątego lipca na łące należącej do gromady Zawory rozbito namioty. Stoczniowa ciężarówka przywiozła batyskaf i potrzebny sprzęt.

W dniu 13 lipca, przed wieczorem odbył się chrzest pierwszego polskiego batyskafu. Umocowany do kotwicznej liny żółty kadłub unosił się jeszcze na powierzchni wody. Płetwonurkowie dohołowali na jego dach aż dwie chrzestne mamy — wychowawczynie z pobliskiej kolonii. Butelki jednak nie rozbito o dziób statku, jako że dziobu on nie posiada. Szampana po prostu wlano w dwa kubki stoczniowe, by tradycyjnie spryskać nim dach.

— Nadajemy ci imię „Meduza I". Idź w głąb i spełnij marzenia polskich akwanautów — brzmiała formuła chrztu. Nie grała przy tym orkiestra stoczniowa, nie huczały syreny statków. Kilkunastu ciekawskich mieszkańców wsi tworzyło całą publiczność tego wydarzenia.

W dniu 14 lipca, o godz. 14.25 powierzchnia jeziora Kłodno skiebiła się. W głębinę wodną opuszcza się pierwszy polski batyskaf. W jego wnętrzu znajdują się dwaj płetwonurkowie z Gdańskiego Klubu „Po-

WERY DUNIKOWSKI — jeden ajwybitniejszych polskich rzeźbia- Poświęcał się również malar- u. Urodzony w roku 1875, zmarł roku 1564. W roku 1897 kończy ademię Sztuk Pięknych w Kra- ie, nagrodzony złotym medalem. pierwszych latach naszego stule- jest profesorem rzeźby w War- wie. Później wyjeżdża do Londy- i Paryża. W 1923 roku wraca do ski i rozpoczyna pracę profeso- w Krakowie. Był więźniem Ośw- cimia. Po wojnie znów wraca do cy twórczej i pedagogicznej — ządkowo w Krakowie, potem w rszawie, następnie we Wrocławiu.

Mój PROFESOR

Praca przy pomniku

MOŻE TO BĘDZIE brzmiało nieprawdopodobnie, ale przez cały okres studiów nie zamieniłem z profesorem prawie żadnego zdania. Wkładano nam do głowy ogromną ilość wiedzy teoretycznej, wiedzy o malarstwie, o rzeźbie. Z podręczników studiowaliśmy rzeźby naszego profesora, ale w pracowni porozumiewaliśmy się bez słów. Istnieje widocznie inny język porozumiewania się — intuicja, smak plastyczny. Dopiero przy budowie pomnika na górze Św. Anny — jednego z najlepszych pomników Profesora — zauważyłem, że nasz Profesor to jakby dwaj ludzie. Jeden — to artysta, zamknięty, poważny. „Drugiego" Profesora poznawaliśmy na co dzień, przy pracy. Był wesoły, żartował, krążyło dziesiątki nieprawdopodobnych anegdot o jego poczuciu humoru, o zabawnych kontaktach ze studentami. Kiedy poznałem tego „drugiego" Profesora uwierzyłem, że to wszystko może być prawdą...

TADEUSZ SIEKLUCKI — urodzony w roku 1925 — wybitny rzeźbiarz polski — uczeń Dunikowskiego. Studiował w Krakowskiej Akademi, w latach 1945—1950. Uczestnik wielu wystaw krajowych i zagranicznych, między innymi wystawy „Dunikowski i jego uczniowie" — 1955, Wystawy Sztuki Nowoczesnej — 1959, Rzeźba Polska — 1945—1960 .I nagroda w konkursie na pomnik Zamenhoffa w Białymstoku, wyróżnienie w konkursie na Pomnik Bohaterów Warszawy.

*

Oglądam stojącą w rogu pracowni rzeźbę — wysoki słup, na nim z czterech stron figury ludzkie, które rzeźbiarz wykonał z gwoździ. Gwoździe zakreślają kontury postaci, widać ręce, głowy.

Boczne oświetlenie „gra" na postaciach — gwoździe mają cienie, widać w tej chwili, że figury są jakby płaskorzeźbami.

Rzeźbić można nie tylko w kamieniu i w gipsie. Rzeźbić można w metalu — blachą, grubymi spawanymi płytami. Materiałów jest wiele, ale zasada ta sama. Dzieło sztuki rzeźbiarskiej, jest zawsze b r y ł ą jakiegoś materiału, a artysta formuje tę bryłę — tnie, nacina dłutem lub siekierą, czasem dziurawi. Bryła może być ludzką postacią, lub po prostu nie nie przedstawiającą bryłą materiału, która podoba nam się samym swoim kształtem.

*

— Pana rzeźby istotnie nie przypominają w niczym rzeźb Profesora.

— Za to jestem mu najbardziej wdzięczny, że nie naginał naszej wyobraźni, nie podporządkowywał nas swojej wielkiej indywidualności. Bo naśladowca wielkiej indywidualności jest w sztuce tylko rzemieślnikiem. Twórca musi sam „tworzyć", czyli budować swoimi pracami świat własny. Miałem szczęście, że trafiłem do takiego profesora.

WIESŁAW HUDON

Zdjęcia autora

Jedna z rzeźb T. Siekluckiego ▶

...et nauczyć się rysunku, który będzie pokazywał naturę — przedmioty, ludzi — tak jak wyglądają w rzeczywistości. Ale to jest dobiero rzemiosło, sztuka to coś więcej. Czy można nauczyć się sztuki od swego profesora? Uczeń powinien szukać innej metody niż ta, którą pracuje profesor, inaczej będzie tylko jego naśladowcą, dzieł tego nikt nie rozpozna. Prof. Dunikowski zmuszał do szukania własnych dróg. Nie chciał, żeby go doskonale naśladowano. I okazało się po latach, że metoda wielkiego rzeźbiarza jest właściwa. Uczniowie jego idą dziś dalej własnymi drogami, sami stawiają sobie coraz to nowe rzeźbiarskie problemy i sami je rozwiązują. Kiedy zamieszkałem porozmawiać o profesorze z innymi uczniami mieszkającymi w Warszawie, nie zastałem ich. Siynała rzeźbiarka, pani Ślesińska, przygotowuje wielką wystawę w Londynie, a pani Zbrożyna — w Stanach Zjednoczonych. Głośno o nich na świecie.

sejdon" — Antoni Dębski konstruktor batyskafu, i inżynier Aleksander Lassaud współbudowniczy — pierwsi polscy akwanauci.

Na brzegu ekipa asekuracyjna ściska kciuki za pomyślność. Jeden z nich czuwa przy kompresorze, który warczy i prycha, pchając sprężone pod ciśnieniem kilku atmosfer powietrze w gumowe węże, łączące batyskaf z lądem.

Od tego kompresora zależy w wielkiej mierze powodzenie całej wyprawy. Wypożyczyli go w Stoczni w stanie mocno nadwyrężonym. Odremontowali, wychuchali, włożyli wiele wysiłku i serca. Teraz mimo woli wsłuchują się w rytmiczny terkot — oby się nie zakrztusił!

ROZDZIAŁ III

Noc pod wodą

W CIASNEJ KABINIE, ubrani ciągle jeszcze w kombinezony płetwonurków, spoceni (trudno powiedzieć — bardziej z wysiłku czy niepokoju) pracują przy dźwigni, przy pomocy której batyskaf centymetr po centymetrze opuszcza się coraz niżej i niżej.

Na głębokości pięciu metrów przerywają zanurzanie.

— Rozbierzmy się. Gorąco...

GŁĘBINY WODNE kryją swoje tajemnice przed okiem ciekawskich płetwonurków i uzależniają pobyt w wodzie od zapasu sprężonego w butlach powietrza... Zejść zresztą łatwo, wyjść trudniej. Pod wpływem zwiększonego ciśnienia, gazy zmniejszają swoją objętość. We wdychanym więc powietrzu na głębokości na przykład trzydziestu metrów, a więc pod ciśnieniem czterech atmosfer, w płucach znajdzie się więcej azotu niż przy ciśnieniu normalnym. W chwili prędkiego wyjścia na powierzchnię, gazy wyzwolone spod ciśnienia rozszerzają nagle swoją objętość. Szczególnie groźny jest azot. Wyzwala się on wtedy w postaci pęcherzyków w krwi, powodując tak zwaną chorobę dekompresyjną, grożącą paraliżem. Dlatego też nurek bardzo powoli wynurza się na powierzchnię. Istnieją specjalne tablice dekompresyjne, na których obliczony jest dokładny czas wynurzania się z każdej głębokości. I tak, jeżeli nurek przebywał na 55 metrach przez 1 godzinę i 15 minut, wynurzać się musi przez 4 godziny i 50 minut! Nie trzeba dodawać, że to wychodzenie jest niezmiernie uciążliwe i wyczerpujące.

Dlatego też praca wykonywana przez nurków jest niezwykle droga.

Tymczasem po dwunastu godzinach przebywania na dużej głębokości, organizm ludzki nasyca się gazami w stu procentach. Czas wyjścia dla nurka przebywającego w wodzie przez 12 godzin czy 30 godzin jest więc jednakowy...

— Gorąco... mamy plus 28,5 st. ...
— Ile dwutlenku?
— Jeden procent.
— Włącz regenerator...

Po chwili aparat do oczyszczania powietrza z CO_2 zaczyna działać.

Po krótkiej przerwie, rozebrani do kąpielówek znowu uruchomiają dźwignię. I znów centymetr po centymetrze „Meduza I" zagłębia się pionowo w dół...

Na siedmiu metrach zapalają reflektor zewnętrzny. Na tej głębokości spędzą noc. Czas dzielą na czterogodzinne wachty.

Pierwszy dyżur pełni konstruktor. Co godzinę trzeba zmierzyć temperaturę wody, zapisać wilgotność powietrza w kabinie, porobić skrupulatne notatki w dzienniku pokładowym. Co pół godziny wachta łączy się telefonicznie z lądem.

Pierwsza noc pod wodą. Za iluminatorem tkwią nieruchomo w świetle reflektora malutkie rybki.

Od świtu rozpoczynają dalsze zanurzanie... Na dziewięciu metrach przerwa śniadaniowa.

W kabinie coś trzeszczy.

— Pękają spojenia? Co za licho?

To „strzelają" pod wpływem ciśnienia pęcherzyki styropianu, którym wyłożone są ściany kabiny.

I znów powolna wędrówka w głąb. W dniu 16 lipca o godzinie 7,40 osiągają głębokość 24 metrów. Zostają tu do 17-go. W kabinie panuje chłód. Dokucza wilgoć.

Do dna pozostało kilka metrów. Na zmianę (mają w kabinie aparaty typu „Narghile"), dokonują wypraw na zewnątrz batyskafu. Mierzą temperaturę wody. Badają dno. Spostrzeżenia skrzętnie notują.

W dniu 17 lipca o godz. 9,30 następuje okres powolnego wynurzania.

Po 95 godzinach pobytu pod wodą dach „Meduzy I" wynurza się na powierzchnię.

Pierwszy polski eksperyment akwanautyczny zdał egzamin.

*

Pomysłem Antoniego Dębskiego zainteresowało się Przedsiębiorstwo Robót Czerpalnych i Podwodnych w Gdańsku. Wkrótce „Meduzie I" przybędą dwie siostrzyce — dwuosobowa „Meduza II" i pięcioosobowa „Meduza III". Większa spełniać będzie rolę dużej bazy wypoczynkowej dla nurków pracujących na dużych głębokościach. „Meduza II" służyć będzie do wynurzania nurków.

WIESŁAWA MROCZEK

Ostatnie chwile przed zanurzeniem się. Od lewej na dachu batyskafu stoją — płetwonurek z ekipy asekuracyjnej Władysław Szczepkowski, Antoni Dębski, Ryszard Lewandowski i w motorówce Aleksander Lassaud.

Foto A. Kowalski

Kuter nr 43

ALOSZA SIEDZIAŁ za stołem naprzeciw ojca. Drzwi od kuchni były otwarte. Pochyliwszy się widział przez nie plecy matki i po nich już poznał, że gadania nie uniknie. Wiedział naprzód, jak to będzie. Zaraz mama przyniesie łyżki, talerze i nie patrząc na Aloszę porozkłada je na stole. Postawi koszyk z chlebem, zerknie na syna i nic się nie odezwie. Potem przyniesie zupę i od tej chwili przestanie być spokojna i poważna. Garnek uderzy głośno o podstawkę, matka popatrzy na Aloszę przeciągłym, w jej mniemaniu groźnym spojrzeniem, i znowu nie powie ni słowa. Dopiero, kiedy zupa będzie już nalana, a ojciec oderwie się od gazety „Prawda Wybrzeża" — wszystko się zacznie.

Alosza wie, jak to zrobić, aby tej rozmowy uniknąć. Trzeba poderwać się od stołu, pobiec do kuchni, wyrwać talerze z rąk matki i samemu rozstawić je na stole. A jeszcze lepiej przy tym powiedzieć: „Daj, mamo, to ci pomogę". Potem wrócić się po garnek z zupą. I można przy tym dodać: „Posiedź sobie, ja sam nakryję do stołu".

Od tej chwili wszystko ułoży się jak najlepiej. Mama będzie jeszcze trochę nachmurzona, ale tylko tak dla zasady, aby Alosza nie pomyślał sobie, że tak łatwo ją kupić. Do końca obiadu będzie rozważać na milcząco jego dobre i złe strony charakteru. Zwycięzą oczywiście zalety i zamiast nieprzyjemnej rozmowy Alosza dostanie od matki dwa ruble na kino, chociaż bilet kosztuje zaledwie trzydzieści kopiejek.

Alosza wiedział, że udobruchać matkę nie jest tak trudno, ale nawet nie próbował, patrzył tępo w stół. Wszystko wydało mu się nudne. Nie tylko teraz w tej chwili, ale w ogóle, życie całe było nieciekawe. Przez ich okno widać stale ten sam skrawek zatoki i rybacki port z zakotwiczonymi kutrami. Zaraz za domem wznosi się stok Gremiaszczej. Jeśli stanąć na szczycie i długo się wpatrywać, to jednym rzutem oka ogarnie się ocean, tajgę, Złoty Róg i biały Władywostok, jakby złożony z kostek cukru.

Na szczycie Alosza już dawno nie był. Łazili tam różni turyści, kręcili głowami, pokazywali palcami w stronę miasta, dziwiąc się jego barwie jak i kolorowi morza, jakby spodziewali się je ujrzeć nie niebieskie, a żółte albo białe w paski. Gdy się zejdzie na drugą stronę szczytu i przejdzie ogrodzenie, można znaleźć się w rezerwacie, gdzie żerują jelenie. Nie uciekają one od ludzi, ale też i nie zbliżają się do nich. Kiedy przechodzisz obok, jak zaczarowane wodzą za tobą wzrokiem, chroniąc w swoich sercach nagromadzony od wieków brak zaufania do ludzi.

Kilometr od domu znajduje się hodowla. Tam w klatkach mieszkają ruchliwe, nerwowe zwierzątka. Często gryzą się, wyrywając sobie nawzajem kłaki drogocennego futra. Wiją się w klatkach i skaczą jak żmije, a nazywają się — norki. Jest tam ich dwadzieścia tysięcy. Alosza o tym dobrze wie. Ma piętnaście lat, wszystko wokół poznał już dokładnie i dlatego jest mu nudno żyć.

Garnki z trzaskiem opadły na podstawkę.

— Ostrożnie, wylejesz — przestrzegał ojciec, składając gazetę.

Alosza przestał wreszcie oczekiwać nieprzyjemnej rozmowy, postanowił sam zacząć.

— Nie bój się, nie wyleje, jeszcze ani razu nie wylała.

Matka popatrzyła na Aloszę i wstrzymała się. Żeby zacząć rozmowę, musiała usiąść. Usiadła więc i choć zupa już stała w talerzach, swoją łyżkę odłożyła na bok. Alosza zrozumiał że teraz się zacznie.

— Iwan — powiedziała matka głosem, który w ich małym mieszkaniu zabrzmiał donośnie. — Iwan, ty w ciągu miesiąca pierwszy raz jesteś w niedzielę z nami.

— Sztorm — odpowiedział ojciec. — Gdyby nie sztorm i dziś byście mnie nie widzieli. Nasza robota nie zna niedzieli.

Alosza ironicznie się uśmiechnął. Jak zwykle, matka nie zaczynała wprost, ale mówiła o niedzieli i o innych blahostkach. Przecież i ona, i każdy najmniejszy szczeniak w osiedlu wiedzieli, że w zatoce jest dziś 6 stopni Beuforta i rybacy siedzą w domu.

— Ty tylko słuchaj mamy, ona tak zawsze. O czym innym myśli, a mówi co innego, — prowokująco odezwał się Alosza. — Ej, kobiety to w ogóle — Alosza machnął ręką, jakby kaptując ojca na swoją, męską stronę.

Ojciec podniósł na Aloszę oczy, przełknął i zaśmiał się.

— Co? Co kobiety? Co w ogóle? Kto tobie to powiedział?

— Iwan... — z wyrzutem odezwała się matka.

Dopiero teraz ojciec zauważył, że matce drży podbródek. Ściągnął brwi, groźnie spoglądając na Aloszę. Ale ten się nie zmieszał. Ojciec nie umiał się gniewać. Kochał matkę, wiedział, że żyją z sobą dobrze i sądził, że wszyscy wokół niego powinni żyć zgodnie. Dlatego właśnie teraz dopiero domyślił się, że w rodzinie coś zaszło.

— Co tu u was się stało? — spytał niepewnie.

— Iwan, ja sama nie wiem... — westchęła matka. — On już drugi raz nic nie mówi, tylko tak na mnie popatrzy... Czuję, że ma mnie za ostatnią idiotkę — machnęła ręką.

Ojciec zwrócił się do Aloszy.

— Tylko ty mi nie śmiej odpowiadać matce grubiańsko. zrozumiałeś?

— Odzywa się niby grzecznie, tylko... — matka zamilkła.

Przypomniała sobie wczorajszy wieczór. A oto jak było.

— Alosza, włącz telewizor — poprosiła. — Zaraz będzie teatr.

— Nie teatr, a występy — poprawił Alosza kręcąc gałką.

— No dobrze, jaka różnica...

— A jednak jest różnica — mówił regulując obraz. Telewizor nastawiał w domu najlepiej. Za chwilę na ekranie ukazał się prawidłowy obraz.

Początek matka opuściła, bo poszła do kuchni. Wróciwszy stanęła w drzwiach i powiedziała:

— Dobrze grają.

— Najpierw popatrz, a potem mów — odezwał się Alosza.

— A ja wszystko w kuchni słyszałam.

— Na to trzeba patrzeć, a nie tylko słuchać.

— Według mnie to zawsze dobrze graja — przyznała matka. — Zawsze mnie dziwi. Żyje sobie człowiek, zupełnie normalny, ma żonę i dzieci... na ulicy go spotkasz i niczego się nie domyślisz, a w teatrze jest generałem albo powiedzmy — marynarzem. Oczywiście, występuje nie w swoim ubraniu, przebiera się, bo przecież naprawdę generałem nigdy nie był. Jak to się dzieje i jak mu się to udaje? Ja bym za nic nie potrafiła.

Alosza wydał wargi i wzruszył ramionami. To, że matka nie mogła występować na scenie, było jasne i bez jej zwierzeń.

— A może bym i potrafiła — nagle powiedziała z niezwykłym u niej zapałem. — W młodości ładnie śpiewałam i nigdy nie odczuwałam tremy.

— Ty byś... przerwał Alosza. — Artyści mają talent, a ty, co?

— A może i miałam talent! — zadziornie powiedziała matka. — Tylko w kuchni trudno mój talent ocenić.

— Może — przyznał Alosza. — Dobrze, dobrze tylko nie przeszkadzaj patrzeć.

Matka posłusznie zamilkła, jakby się cała zjeżyła w sobie. Ale Alosza tego nie spostrzegł, bo siedział twarzą do telewizora.

Długo milczała. Patrzyła na ekran, ale już nie widziała i nie rozumiała tego, co się tam działo. Myślała sobie o tym, jak śpiewała w młodości, nikogo się nie krepując. Jak schodzili się na te pieśni ludzie nie tylko z jej, ale i z innych wiosek. Wspomniała i nagle poczuła chęć opowiedzenia tego swojemu synowi. Chciałaby zanucić coś na próbę. Ale zaraz też wyobraziła sobie, jak wtedy Alosza spojrzy na nią pogardliwie. Odechciało jej się oglądać występów, poszła do kuchni i cicho zamknęła za sobą drzwi.

JURIJ TOMIN
Opr. B. TYLICKA

C. D. N.

Rys. J. ROCKI

Start! W tym momencie kończy się trema, a zaczyna sportowa walka. Zaobserwujcie jednak, jakie kolosalne napięcie maluje się jeszcze ciągle na twarzy naszego czołowego czterystumetrowca, Jana Wernera.

Fot. A. Jałosiński

Nerwy NERWY...

TO BYŁO na kilka minut przed startem do finałowego biegu na 100 metrów podczas Olimpiady w Tokio. Z położonych wysoko na trybunie miejsc prasowych obserwowałem zawodników przygotowujących się do startu. Kręcili się nerwowo wokół bloków. Podniosłem lornetkę do oczu i zobaczyłem, jak potężny Murzyn Bob Hayes, pewny faworyt setki, który w półfinale uzyskał przy nieznacznej pomocy wiatru fenomalalny czas 9,9, trzęsie się teraz zupełnie jak galareta! Ramiona, uda drgały mu niczym w febrze. Z tremy!

Czy wiecie, co to jest trema? Mała Encyklopedia Powszechna tak wyjaśnia to hasło:

TREMA (z łaciny) zdenerwowanie przed publicznym występem.

Jestem przekonany, że sami nieraz ją przeżywaliście. Na przykład przed klasówką. Albo kiedy wywołują was do tablicy. Denerwujecie się jak wypadnie wasza odpowiedź. Jeden mniej, drugi bardziej. Zależnie od tego jak jest przygotowany. Ale nawet najlepsi uczniowie kryją na dnie serca tajemne pytanie: a co będzie jeśli akurat nie potrafię odpowiedzieć?

A teraz wyobraźcie sobie sportowców. Ogromny stadion, tysiące widzów. Nawet najlepiej przygotowany do startu mistrz nie wie, jak za chwilę wypadnie jego egzamin. Przecież zależy to nie tylko od jego formy, ale i od przeciwników. Mogą być lepsi, też przygotowywali się przecież usilnie do walki na boisku czy pływalni. A ileż jeszcze drobnych szczegółów, takich choćby, jak nagle rozwiązanie się sznurówki w bucie, może w sporcie odegrać zupełnie poważną rolę!

Nic więc dziwnego, że sportowców zjadają nerwy. Był kiedyś taki znakomity biegacz węgierski — Sandor Iharos, który w latach 1954—1955 bił rekordy świata na dystansach od 1500 m do 10 km. Kariera jego trwała krótko, bo przed każdym startem z tremy tracił na wadze do dwóch kilogramów! Denerwował się, nie mógł jeść, był chudy, jak tyka. Błysnął i można powiedzieć spalił się!

Różnie zresztą zawodnicy przeżywają tremę. Obserwacją „stanów przedstartowych" sportowców zajęli się naukowcy-psycholodzy, lekarze. Nie zamierzam się wdawać jednak w naukowe problemy, a po prostu chcę się z wami podzielić swoimi obserwacjami sprawozdawcy z wielu imprez sportowych i opowiedzieć, jak nasi mistrzowie przeżywają tremę.

Mieliśmy swego czasu dwóch doskonałych sprinterów — Andrzeja Zielińskiego i Mariana Foika. Raz wygrywał Zieliński, raz Foik, a ich pojedynki podniecały kibiców do białej gorączki. Otóż Zieliński zaczynał się denerwować już wtedy, kiedy w prasie pokazywały się notatki zapowiadające na kilka dni naprzód kolejny pojedynek tych świetnych sprinterów. Aby temu zaradzić unikał gazet, nie chciał ich w ogóle brać do rąk!

Wśród kolarzy zaobserwowałem, z grubsza biorąc, dwa rodzaje podniecenia przed startem. Jedni nie mogą znaleźć sobie miejsca, kręcą się, wiercą, odwracają swoją uwagę od oczekującej ich walki na etapie — napełniają w ostatniej chwili bidony, sprawdzają pakiety z żywnością, pompują dętki itd. Drudzy są natomiast jakby zahipnotyzowani, ospali, nie chcą z nikim mówić, zamierają w bezruchu. Ale za to w środku, wewnątrz nich aż się gotuje. Łatwo wybuchają, o byle co krzyczą.

Trema zaczyna się na długo przed startem i wielu sportowców nie może spać na dzień przed występem. Nasz znakomity bokser, mistrz olimpijski Józef Grudzień opowiadał mi, że w Tokio dosłownie nie przespał ani jednej nocy! Leżał na łóżku z zamkniętymi oczami i udawał, że śpi, bo nie chciał martwić trenera Stamma!!! Bokserzy z reguły mają mocną tremę. W przeprowadzonej kiedyś przeze mnie ankiecie, na 50 pięściarzy tylko 13 odpowiedziało, że potrafi zwalczyć tremę. Dwunastu skarżyło się, że z tremy ma przed startem gorączkę, dwóch obgryzało do krwi paznokcie, pięciu nie mogło spać, siedemnastu nie mogło sobie znaleźć miejsca.

Sportowcy oczywiście próbują w rozmaity sposób odwrócić swoją uwagę od startu, zająć się czymś innym, co nie pozwoliłoby im się denerwować. Opowiadał mi ostatnio nasz mistrz olimpijski i rekordzista świata w podnoszeniu ciężarów, Waldemar Baszanowski, o doskonałym sposobie, jaki odkrył niedawno podczas zawodów w Meksyku. W pokoju, w którym mieszkał, zepsuł się zamek. Baszanowski wymontował ten zamek z drzwi, zabrał ze sobą do hali sportowej, w której odbywały się zawody. Tam podczas przerw w poszczególnych bojach rozebrał go na 57 części, naprawił i złożył z powrotem!

— „Tak mnie ta reperacja zamka zajęła, że całkiem zapomniałem o denerwowaniu się i może dzięki temu ustanowiłem dwa rekordy świata!" — zakończył wspomnienia Baszanowski.

W pokonaniu tremy pomagają sportowcom psycholodzy, zajmujący się specjalnie tym problemem. Opracowali oni specjalne metody psychicznego przygotowania się zawodników na długo przed startem tak, by potem trema nie wpłynęła na ich osłabienie. Znany psycholog, profesor dr A. C. Puni z Leningradu sformułował następującą opinię:

„Silna wola, odporność psychiczna na tremę kształtuje się w procesie stopniowego pokonywania narastających trudności podczas treningu i w sportowej walce z przeciwnikiem".

Być może, że pomoc naukowców pomoże wyeliminować sportowcom tremę przed startem. Byłoby to dużym zwycięstwem nauki nad ludzkim emocjonowaniem się i podnieceniem nerwowym. Bo jak dotąd, mimo wszystko, tremę trudno zwalczyć.

T. OLSZAŃSKI

Kulej jest mistrzem olimpijskim, słynie z silnego ciosu, dosłownie jest postrachem ringów. Reprezentant NRD Rieger jest młodym sportowcem, stawia dopiero pierwsze kroki. A jednak przypatrzcie się — to na twarzy Kuleja maluje się przestrach! To jeszcze objawy tremy.

Fot. L. Łożyński

UWAGA! UWAGA!
CENNA PREMIA
MOTOROWER!

Wszyscy, którzy do dnia 15 grudnia br. zamówią w Wydawnictwie Harcerskim (Warszawa, ul. Konopnickiej 6) co najmniej 10 tytułów z podanego zestawu serii

„ZRÓB TO SAM — COŚ Z NICZEGO"

wezmą udział w losowaniu motoroweru oraz nagród pocieszenia.

Książeczki tej serii pomogą Wam z prostych — łatwo dostępnych materiałów wykonać modele np. rakiet, dworców kosmicznych, okrętów, samochodów, dźwigów, budować porty na strumieniu, miasta, robić kusze itp.

ODCIĄĆ, WYPEŁNIĆ, PRZESŁAĆ

Cena każdej książki zł. 2.—

.... Z. Dutkiewicz	Samochody wyścigowe
.... A. Glass	Samoloty XX-lecia
.... A. Glass, K. Wójcik	Na start
.... A. Golińska	Choinkowe cuda
.... A. Golińska	Moje lalki
.... Z. Kaszyński	Moje drobiazgi
.... Z. Kaszyński	Zbieram znaczki
.... L. Komuda	„Cztery kółka" swojej roboty
.... L. Komuda	Na placu budowy
.... J. Krześlak	Maszyny ziemne
.... H. Latoś	Pociąg elektryczny
.... H. Latoś	Rakieta
.... H. Latoś	Obrazki
.... A. Marks	Czarodziejskie zabawki
.... M. Napierzyński	Budujemy
.... M. Podliński	Wyruszamy w kosmos
.... M. Podliński i K. Wójcik	Lotnik wyczynowiec
.... L. Sochaniewicz, K. Wójcik	Moja flota
.... S. Weinfeld	Wesołe miasteczko
.... A. Glass	Samolot PZL 104 „Wilga"

Zamawiam i proszę o przesłanie książek za zaliczeniem pocztowym

(nazwisko i imię)

(poczta, powiat)

(miejscowość, ulica, nr domu)

Przesyłkę zobowiązuję się wykupić natychmiast po jej nadejściu.

(data) (podpis)

DRUK

WYDAWNICTWO HARCERSKIE
WARSZAWA
ul. Konopnickiej 6

miejsce na znaczek

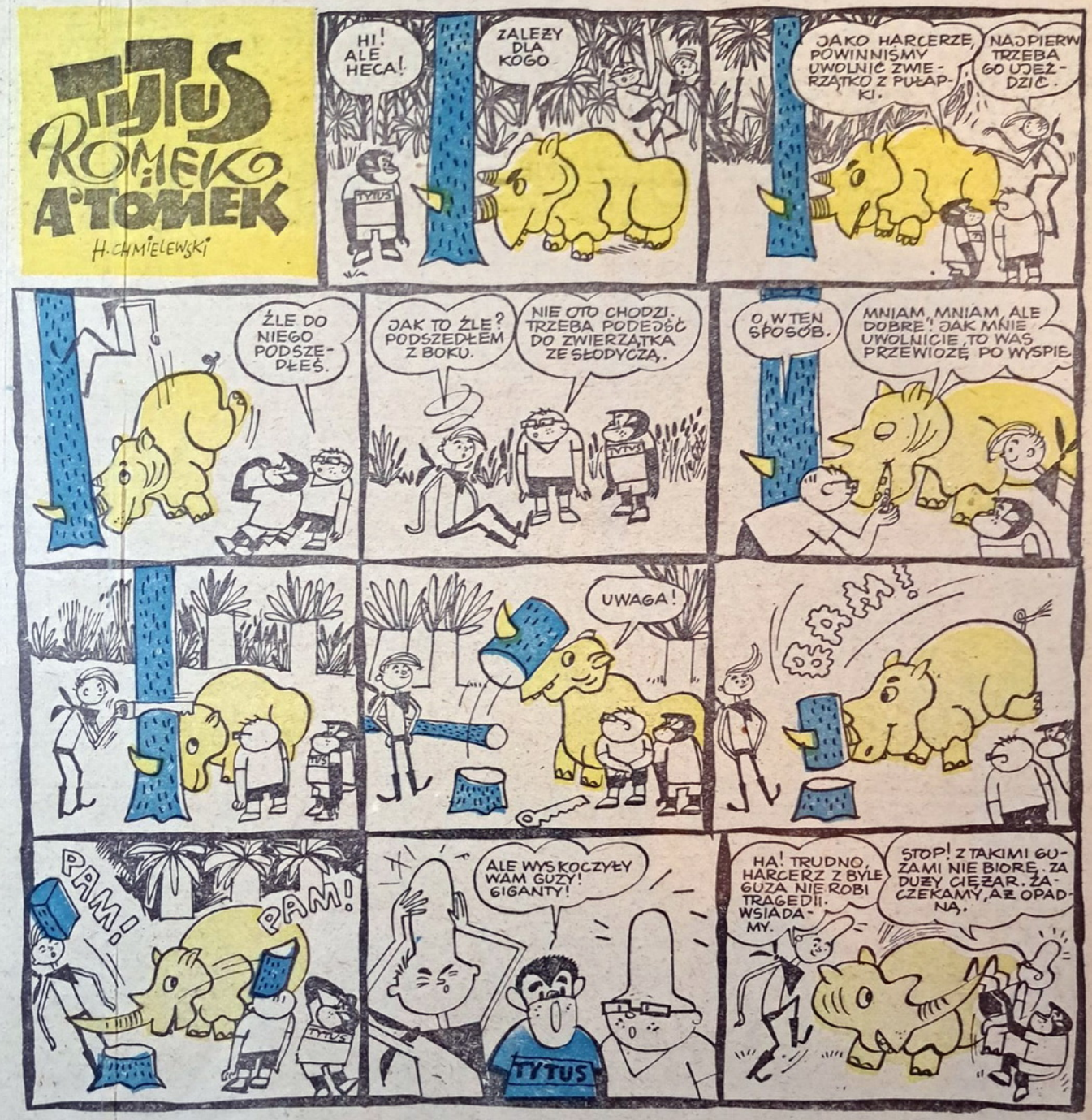

Spróbuj Rozwiązać

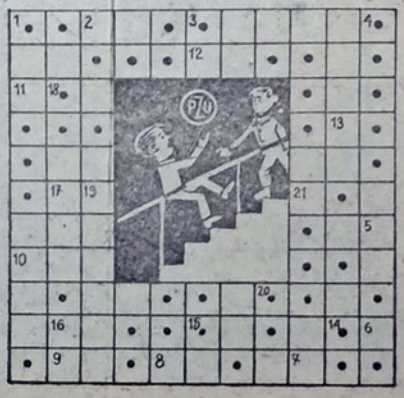

CIĄGÓWKA Z NAGRODAMI PZU

Do kratek wpiszcie dwadzieścia jeden wyrazów o podanym znaczeniu. Ostatnia litera każdego wyrazu jest równocześnie pierwszą literą następnego wyrazu.

Litery w krątkach oznaczonych, czytane kolejno, tworzą rozwiązanie. Znaczenie wyrazów: 1 — owad, ptak (samiec wydaje buczący głos); 2 — wielka beczka; 3 — walcowata łodyga o pustych międzywęzłach i pełnych węzłach; 4 — ma ułan przy butach; 5 — miasto powiatowe nad Iłżanką; 6 — roczna roślina, której owoce używane są w lecznictwie i przemyśle spożywczym; 7 — staropolski ubiór męski; 8 — mieszkanie lisa; 9 — płaszcz na kopercie, 10 — rośnie na łące; roślina uprawna znana jako warzywo; 11 — wisi w szafie, a stoi w przedpokoju; 12 — rodzaj suchej, dobrej kiełbasy wieprzowej; 13 — trawiaste zbiorowisko roślinne z rzadkimi grupami krzewów (Afryka, Australia, Ameryka Pd.); 14 — jednostka natężenia prądu elektrycznego; 15 — płynie do morza; 16 — miasteczko pionierskie na Krymie; 17 — ptak wielkości kury, żyje w Nowej Zelandii; 18 — rzeka w Czechosłowacji, dopływ Łaby; 19 — wzorzysty materiał jedwabny; 20 — miasto powiatowe nad Łabną; 21 — tłusty płyn.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji: „Świat Młodych", Warszawa, ul. Mokotowska 24.

Na kopercie lub kartce pocztowej należy umieścić dopisek: Ciągówka PZU.

Dziś możesz wylosować jedną z następujących nagród, ufundowanych z funduszu prewencyjnego PZU w Warszawie.

BUDZIK
SANKI
DIASKOP
KOMPLET NARZĘDZI DO MAJSTERKOWANIA
10 KSIĄŻEK

ŚWIAT MŁODYCH

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół: Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa". WARSZAWA, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Warszawa ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00 kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr I-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 1597. T-45